Nr. 25. Poznań, dnia 17. Czerwca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

W miesiąc potém dowiedziano się że został tknięty apopleksyą i życia dokończył. Pozostałe długi w Anglii i na stałym lądzie, dokuczały synowi, ale ten ich wcale płacić nie myślał. Baron Sauer był tak grzeczny, iż pensyę trzech tysięcy talarów przelał na hrabinę, dając do zrozumienia że z nią by sobie mogła pojechać, gdzie się jéj podoba... Zdaje się że na tę wspaniałomyślną decyzyą wpłynął podszept młodéj pani, która chciała być samowładną w pałacu i przenieść się do gabinetu à la Louis XV. Hrabina z radością powitawszy nadzieję swobody, choć z tak szczupłym fundusikiem natychmiast wybrała się do Drezna. Posyłała nawet do panny Carity, czyliby jéj towarzyszyć nie chciała; ta jednak odmówiła. Pensya nadzwyczaj już stała świetnie, a protekcya ks. administratora dała jéj sławę i wziętość. Rzeczywiście on nią więcéj kierował niż Włoszka, która była jego najuleglejszą sługą... Mówiono już o zarządzonéj składce, która zakład ten miała na nowy klasztor przerobić.

O powrocie ks. Kanonika do probostwa, mowy być nie mogło. Jeździł on parę razy do dawnych swych przyjaciół i znajomych, członków kapituły, ale ci wyznali mu że ks. Wikary miał takie plecy, protekcye i był tak popierany silnie iż przeciwko niemu ani by się kto ważył wystąpić. Radzono mu rezygnować a w innéj dyecezyi lub chociażby w téj innego szukać probostwa; oświadczając otwarcie iż był pomówiony o liberalizm, patryotyzm, demokracyę, o rewolucyjność, o czerwoność i inne tego rodzaju zbrodnie, któremi raz obrzucony człowiek, choćby najniewinniéj — już się nigdy oczyścić nie może...

Ks. Kanonik poddał się w milczeniu woli niebios, żal mu było opuszczać miejsce do którego się przywiązał, a zdało mu się że z tego co mu przeznaczono przy innéj jakiéj pracy wyżyje. On i siostra nawykli byli do tak skromnego życia, iż dla zykania lepszego bytu nic poświęcać nie potrzebowali.

W dzisiejszych czasach ta teorya swobody człowieka, ograniczeniem jego potrzeb zdobywana, cale niema wziętości — jest ona wszakże najskuteczniejszą tarczą przeciwko zepsuciu, a ci co ją przyjęli biorą z nią moc wielką, stają się niezależnemi i wyższemi nad pokusy.

Większéj części serwilizmów, upodleń, upadków ludzkich, przyczyną jest nawyknienie do zbytku, próżność i rozpieszczenie cielesne. Kto potrafił przekonać ciało i nadać mu hart potrzebny, nabywa potęgi równoważącéj często, często przeważającéj potęgę grosza i władzy.

Ale ta stoicko-chrześciańska teorya dawno odrzuconą została. Materyalizm odkrył i dowiódł że mens sano in corpore sano, i że interesa żołądka są zarazem sprawami

ducha. Nie było więc innego sposobu tylko obwarować sobie warunki materyalne, jako najpierwszą potrzebę — a że znowu wielu inaczéj jak wątróbkami w pasztetach karmić się nie może — ztąd konieczność zbrukania się dla zdobycia wątróbek — i tam daléj i tam daléj. Kto może żyć kawałem chleba, być zdrowym i silnym i nie tęsknić za delikatesami, stokroć jest większym panem, niż milionowy sybaryta co się lęka więcéj o utratę dobrego stołu niż dobrego imienia.

Zosia codzień prawie przybywała na probostwo, opowiadając coś o ojcu i wynosząc jego spokojność i rezygnacyę. Trafiło się w tym czasie iż pani matka pisała parę razy do Juliana, a Zosia pieczętowała, do tych jednak listów nie dodała ani literki... Zmieniło się zupełnie położenie. Zosia miała maleńki posażek, a Julian jako zdolny doktór wielką i świetną przyszłość przed sobą. Poczuła to dobrze iż mu jéj zawiązywać nie była powinna. Posmutniała biedna, ale umiała tego nie pokazywać po sobie.

Największe wrażenie katastrofa zrobiła na pannie Klarze, która wypłakiwała się strasznie, a nastrojona była tak, że nie mogła inaczéj przemówić tylko niesłychanie patetycznie deklamując przeciwko zepsuciu świata, ludziom, zdradzie, niesprawiedliwości i t. p. Z rozczulenia wpadała znowu aż w gniewy czasem i kłóciła się z bratem, którego slamazarności przypisywała wszystkie „nieszczęścia rodziny.“ — Ostójski jakby odmłodniał tak się krzątał z nową gorliwością około gospodarstwa.

Jednego poranku wreszcie gdy Zosia wedle zwyczaju przyszła do dworku dać dzień dobry matce Juliana, zdziwiła się i zmięszała niezmiernie zastawszy całe niespodzianie młodego doktora, który przyjechał niezapowiedziawszy się wprzódy.

Zosia która go niedawno tak czule i śmiało witała, napastliwie prawie, teraz i chłodno i umiarkowanie pozdrowiła Juliana. Krócéj też pobywszy niż zwykle, pod pozorem że jéj ojciec potrzebował, że miała cóś do roboty w domu — pożegnała się i pierzchnęła.

Nazajutrz już nie przyszła.

Trzeciego dnia Julian z Kanonikiem i matką wybrali się po obiedzie do Ostójskiego — którego szczęściem w domu zastali. Młody medyk zdziwił się nieco wyraźnie umyślnie zwiększonéj jeszcze prostocie urządzenia domu. Jedna sługa starczyła do kuchni i pokojów, gdyż Zosia a po części i ciocia resztę roboty wzięły na siebie. Ostójski Jakóbka odprawił i mówił że się doskonale bez niego obchodzi. Nie było skępstwa lecz widoczna i troskliwa oszczędność.

Ciocia, którą po raz pierwszy spotykał Julian, podała mu rękę i rozpłakała się.

„Jedna chwila“, rzekła, „częstokroć przedziela szczęście od niedoli. Gdyś pan zdążał ztąd po wieńce do stolicy... zostawiłeś nas opływających we wszystko... dziś znajdujesz w nędzy...“

„Ale dałabyś pokój“, ofuknął Ostójski, „gdzież nędza! gdzie nędza? To już retoryka za daleko posunięta...“

„Szala losu przechyliła się w stronę przeciwną“, dodała panna Klara.

Ostójski gościnnością w domu i dobrym humorem starał się gościowi dać zapomnieć że powinien był kondolencyjny przynieść komplement. Na pierwsze Juliana słowo — przerwał mu.

„Nic niema tak strasznego, chleba kawałek został, a póki siły póty pracy być powinno.. Nie mówmy o tém.“

Zosia choć swobodna i prawie wesoła, nie szukała już rozmowy z Julianem, nie wyzywała go do niéj jak wprzódy — Julian znowu, jak gdyby ze swéj strony chciał dowieść że zmiana położenia na jego uczucia nie wpłynęła, o wiele był swobodniejszy i weselszy niż dawniéj.

„Cóżeśmy to słyszeli“, rzekł Ostójski, „że się asindziéj panie Julianie, wybierasz do Ameryki, czy do Kalifornii złoto kopać, czy co?“

„Miałem w istocie myśl“, odpowiedział zagadnięty, „odbyć podróż naukową i jakiś czas poświęcić się praktyce w jedném z miast Ameryki południowéj, gdzie o dobrych lekarzy dosyć jest trudno — ale — ale się waham.“

„Cóż? więc znowu projekt do Rosyi?“, spytała Zosia cicho, rada prawie iż od żółtéj gorączki strachu uwolnioną została... w zamian biorąc cholerę.

„Aż mi wstyd“, szepnął Julian, „że tak niestały jestem. Oto doprawdy sam niewiem teraz... do Ameryki daleko, Rosya dla samego języka mi niedostępna, matki mi rzucić żal, Kanonikowi bym pragnął być pomocą... któż wie? może zostanę w kraju.“

Zosia się zarumieniła mocno, Ostójski odchrząknął i z wyjaśnioną twarzą począł się przechadzać po pokoju.

„Dalibóg“, rzekł, „zrobisz rozumnie, a że ci na praktyce wyborowéj zbywać nie będzie — ręczę. Gdybyś widział jak ja i co tu nasze biedne ludziska feber rozmaitych, reumatyzmów, kalectw, choróbsk nabiorą przy pracy i klimacie — to by ci aż ślinka do ust pociekła. Takie choroby powiadam ci, nowiuteńkie, wymyślne właśnie jakich młodemu doktorowi potrzeba!! Będziesz sobie uczył się i praktykował, lepiéj jak w szpitalu przy klinice, z tą różnicą że u nas zobaczysz takich chorych którzy u was leżą w łóżkach, z gorączką noszących snopy, z febrą młócących zboże i z reumatyzmem po kostki stojących w błocie godzinami... To dopiero praktyka!“

„W różowych odmalowana kolorach!“ dodał Kanonik. „No — co do mnie“, mówił daléj, „ja teraz Julka ani od podróży nie wstrzymuję, ani do skromnego życia na wieś zapraszam. Było by mi boleśnie gdyby swą przyszłość dla nas poświęcał. Dla tego i odezwać mi się trudno.“

Matka także milczała, panna Klara zbierała się coś — „rzec“ ale odłożyła na późniéj. Zosia ukradkiem patrzyła w oczy Julianowi, który był zamyślony i milczący.

Gdy się wszyscy rozgadali późniéj, a Zosia wyśliznęła się do drugiego pokoju, Julian nieśmiało poszedł za nią. Ostójskiemu aż oczy zaświeciły gdy to zobaczył.

„Panno Zofio“, odezwał się idący za nią medyk, „doprawdy pani coś na mnie nie łaskawa...“

„Dla czego?“

„Anim dotąd miał zręczność pozdrowić pani! tak ją widziałem mało... Czy panią bardzo tak dotknęło to nieszczęście?“

„Mnie? osobiście! a! bynajmniéj“, zawołała Zofia, „wierz mi pan iż ani bym go poczuła dla siebie. Dla ojca dotyka mnie ono boleśnie, biedny tatko powinien był nieco spocząć...“

„Czy pani wierzysz w to że spoczynek jest szczęściem?“ spytał medyk.

„Zupełny — nie“, rzekła Zofia, „pojmuję to że człowiek nawykły do pracy, gdyby mu ją odjęto, prędzéj by się uczuł skrzywdzonym, zanudził by się, niż by miał tém ucieszyć. Ale zbytek pracy i frasunek przytém w wieku ojca.“

„Czyż się tak bardzo zamęcza?“

„Dosyć... nadto.“

„A pani go wstrzymać nie może?“

„Bardzo mało... On kłopocze się niepotrzebnie o mnie, o losy moje — ja o niego. Ja mam słuszność, on najmniéjszéj. Zostało mi tyle że staréj pannie doskonale wystarczy, a nawet dwóm, bo juściż o cioci nie trzeba zapominać.“

„Ciocia zdaje się mocno dotkniętą.“

Zosia się uśmiechnęła.

„Tak“, rzekła, „ale ma w tém pociechę, że nigdy tyle pięknych rzeczy powiedzieć nam nie miała zręczności co teraz...

„Mnie, wiesz pan co najwięcéj zasmuciło? Musieliśmy rzucić stary folwark gdzie się tak długo mieszkało... Wystaw pan sobie, na moim kochanym ogródku posadzili bezbożnicy kapustę! kapustę!“

Julian się uśmiechnął.

„Profanacya to“, rzekł, „alež pani musi mieć ogródek nowy?“

„Tak! nowy! nawet daleko piękniejszy. Ojciec — bo jeszcze wówczas jak można było — sprowadził mi takie śliczne kwiatki z Erfurtu. Co mi po nich! Jam mój krzak bzu co podrósł w mych oczach wolała i ręką moją sadzone, owe maliny.

„A wiesz pan! za karę im — wymarzły! Teraz znowu“, szczebiotała Zosia, „przenosić się pewnie potrzeba gdzieś indziéj, a to koczowanie mnie męczy...“

„Ojciec, co panią tak kocha“, odezwał się Julian, mógłby na to łatwo poradzić — coś małego kupić i na swojém gospodarzyć.“

„Nie, niemamy nawet za co kupić — małego...“ szepnęła Zosia spuszczając oczy, „nie zostało nam nawet tyle, by dobry młyn gdzie nabyć. Ojcu się zdaje że z tego co ma łatwiéj się dorobi.“

Mówili dłużéj jeszcze, swobodnie i poufnie, a do rozmowy wmięszały się wspomnienia młodości, których Julian nie unikał. Był jakiś wesół i mówniejszy niż dawniéj. Zosia mu tego powinszowała.

„A! pani!“ odezwał się otwarcie, „teraz to wcale co innego, jesteśmy na zupełnéj stopie równości. Dawniéj widziałem w pani w całym blasku majestatu dziedziczkę fortuny, którą olśnięty ust nie umiałem otworzyć... teraz mówię z panną Zofią.“

„Więc się na coś nasze nieszczęście przydało przecie!“ dodała Zosia.

„Aż mi wstyd że ja na niem skorzystałem, gdy państwo straciliście“, dorzucił Julian.

Po odejściu Kanonika ze swemi Zosia w wybornym humorze siadła grać na fortepianie. Grała strasznie jakoś burzliwie, gdy ojciec się wsunął.

„A co? a co?“ spytał, „nieprawdaż że Julian jakby inszy człowiek. Zawadzały mu widocznie talary, które pojechały z tym przecherą do Ameryki?“

Zosia mu się rzuciła na szyję.

„Julian śmielszy jest... a jednak??“

Powróciła do grania, Ostójski poszedł do stolika kabałę kłaść, ale na co? do tego przyznać się nie chciał. Kabała mu wypadła... nie można wszakże zaręczyć, czy dyplomatycznie w pomoc jéj nie przyszedł.

Julian, któremu znaném było postępowanie Wikarego z Kanonikiem i tysiączne drobne przykrości, jakie czynił wujowi, nie miał cale zamiaru odwiedzać probostwa. Niespodzianie spotkali się jednak na drodze z powracającym z pensyi swéj ks. Leonem, a ten zaczepił sam Juliana, z bezwstydnością podziwienia godną. Medyk zimno go przyjął, robić mu wszakże wymówek i historyi i sam nie chciał i wiedział że Kanonikowi by tém przykrość wyrządził.

Ks. Wikary cale teraz inaczéj wyglądał, nabrał pewności siebie i téj jakiéjś dumy pokornéj, która odznacza duchownych dobijających się znaczenia. Mówił więcéj, śmieléj, czuć było że ufał w jakąś siłę w sobie i po za sobą. Nie tylko przywitał Juliana i począł z nim rozmowę, ale począwszy ją nie dał odejść medykowi, ciągnąc go z sobą niemal gwałtem na plebanię. Jakkolwiek kosztowało go tam wejść, musiał, ciągnięty natrętném naleganiem. Stara budowa wyglądała teraz wyświeżona, przyozdobiona, nader pobożnemi godłami, obrazami, sprzętami lecz zarazem wytwornie. Pełno było drobnostek i cacek wprawdzie uświęconych różnemi emblematami religijnémi, ale świecących i wabiących oko. Stare ławy i stoły zastąpiły meble wykwintne. Julian chwilę tylko chciał zabawić i odejść, Wikary go wstrzymał.

„Dla tego tylko mówić chciałem z panem Julianem, aby go zapewnić“, rzekł przymilającym się głosikiem, „iż to o co mnie oskarżają — jest fałszem.

„Mówią żem przeciwko Kanonikowi intrygował... o! nie ja! nie ja! on sam przeciwko sobie działał. Czasy się zmieniły, karność w kościele musiała też uledz reformie... Kanonik niesłusznie też uprzedzony jest przeciwko bogobojnemu zakonowi OO. Jezuitów. Spełnia on dziś toż samo posłannictwo przeciwko doktrynerom wieku, które zwycięzko raz już sprawił w XVI w. Kościół uorganizował sobie ten korpus mężnych zapaśników i musi strzedz aby go szanowano.

„Ks. Kanonik sam winien... ja mu najlepiéj życzę... Proszę mi wierzyć. Ale ileż to razy publicznie mówił przeciw temu i innym zakonom, które są potrzebne i Bogu miłe... Powtarzano jego słowa...“

Julian nie odpowiadał nic, nie usiadł nawet i pobywszy chwil kilka pożegnał ks. administratora.

(Dokończ. nast.)

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Tu weszło do świetlicy dwóch górników, starszy był już w latach podeszły, młodszy — młodzieniec w pełnéj sile ale po postaciach i twarzach obudwu znać było całodzienne znużenie po ciężkiéj pracy. Obojętnie spojrzeli na mnie — matka przedstawiła mnie mężowi i młodszemu synowi swojemu jako przyjaciela Kazia. Obadwaj skinęli głową i ojciec rzekł:

„Zaraz, żaraz, niech się tylko trochę ogarnę po pracy.“

Słyszałem, że się myli w ościennym alkierzu — po chwili przyszli przebrani do stołu i obadwaj podali mi rękę.

Podano na stół cynową wazę z krupnikiem, ojciec złożył ręce i obróciwszy się do obrazu Najświętszéj Panny odmówił wspólną modlitwę ze wszystkiemi domownikami, potém przeżegnał chleb nożem i ukroił kromkę chleba dla wszystkich z kolei. Matka podała wódkę, wypił do mnie, jam wypił do syna, ojciec prosił aby matka odrobinę do ust wziąść chciała i usiedliśmy do stołu.

Było coś uroczystego w tych obyczajach górniczéj rodziny, matka nakładała wszystkim z każdego dania na talerze i nikt się prawie słowem nie odezwał. Jakżem żałował że Seweryn tego nie widział, cóż by to za uczta była dla téj prostéj poetycznéj duszy gdyby był razem z nami za tym stołem siedział.

Przez ciąg całego obiadu, wyglądała matka często przez okno i spoglądała niespokojna ku drzwiom. Nie śmiałem pytać pojmując że się coś niedobrego z Kazimierzem stało, ale rozumiejąc to dobrze że matka na jego przybycie oczekiwała, bo jedno nakrycie więcéj było przy stole przygotowaném i jeden stołek niezajęty do końca obiadu. Po obiedzie odmówił górnik znowu modlitwę: „Dziękujemy Ci Panie za dary, któreśmy pożywali z Twojéj świętéj szczodrobliwości, niech nam przy łasce i błogosławieństwie Twoim wyjdą na pożytek ciała i duszy.“

Wielkie poręczowe krzesło stało około komina, stary górnik usiadł i przeciągnął się na nim a my obsiedliśmy go do koła. Matka podała nałożoną lulkę ojcu, do któréj sam sobie ognia wykrzesał a syn podał mnie lulkę. Podano kufle z piwem które matka napełniała z drewnianego ozdobnego węborka i powoli zawiązała się rozmowa.

Z niéj to dowiedziałem się że przyjaciel młodości naszéj Kazimierz nie chce obrać żadnego stanu. Ojciec widać nie lubił mówić o téj rzeczy, brat siedział obojętnie i nie dzielił rozmowy a matka tylko wyżalała się przedemną w téj nadziei że jako przyjaciel młodości Kazimierza potrafię mu poradzić życzliwie i naprowadzić na jaką lepszą drogę.

Długo nie mogłem zrozumieć o co chodzi. Pytałem czy może gra w karty, hultai czy pije. Matka nie chciała wprost odpowiedzieć na żadne pytanie, aż w końcu ojciec z niecierpliwością powstał i rzekł:

„Gorzéj niż to wszystko! Wolałbym żeby grał w karty i pił; hultaił i długi robił, myślałbym że to się w młodym burzy. Jeszcze tacy wychodzą na ludzi jak się wyburzą, lecz to gorsza panie sprawa od wszystkiego: on próżnuje, nie chce się wziąć do żadnéj pracy a próżniaka czepia się wszystko złe — tak też i jego. Co tu wiele mówić, niespełniak, Wielmożny Panie, niespełniak!“

Matka pobladła jak chusta. Ja nie znałem wówczas jeszcze tego wyrażenia. Stary górnik zrozumiał to po chwili i wskazując na czoło, powiada:

„Tu się panie przewróciło!“

Żal mnie ogarnął i wyznam, iż obawiałem się tego aby Kazimierz nie nadszedł w téj chwili — cóż to za spotkanie? odszukać przyjaciela młodości w domu jego rodziców po latach z obłąkanym rozumem. Widziałem potrzebę zwrócenia téj rozmowy na inny przedmiot.

W dużym alkierzu obok świetlicy, która drzwi nie miała, ale łączyła się tylko arkadą z izbą stołową, stał jakiś warsztat, a nad nim było kilka półek na ścianie, a w nich różne narzędzia rzędem poukładane i pozatykane w listewki. Pod drugą ścianą stał klawikordzik, a na kobiercu którym był nakryty leżało kilka instrumentów muzycznych. Pod jednym oknem stał stolik duży, nad nim półka z książkami, papiery i jakieś małe cacka systematycznie rozłożone na półkach. Nad warsztatem były ustawione różne drobne wyroby z oczkowéj soli kamiennéj i bardzo nawet sztuczne roboty górnicze z drzewa rzeźbione. Była tam kapliczka z figurą św. Kunegundy, patronki Wieliczki, były w dużych flaszkach szklannych odrobione plastycznie pojedyńcze szyby i piętra kopalni dające wyobrażenie całego ruchu górników pod ziemią i ich pracy. Po kilkadziesiąt figur nieraz mieściło się pod taką szklanną banią, były wizerunki Matki Bożéj i Męki Pańskiéj ex voto, bo wszędzie u stóp téj drobnéj rzeźby klęczeli górnicy ofiarując się pod opiekę Opatrzności Bożéj.

Twarz starego górnika wypogodziła się gdy ujrzał moje żywe zajęcie temi kunsztownemi cackami, które wyrabiał; jakaś dziwna naiwa prostota i rzetelna prawda była znamieniem tych wyrobów nieuczonéj ale kunsztownéj ręki. Z największem tedy zajęciem opatrywałem te cacka, które się zdawały należeć pod względem sztuki do odległych wieków.

„Otóż to nasze warsztaty mój Wielmożny Panie! moje i Stasia“, rzekł stary górnik, wskazując na wyroby górnicze i instrumenta muzyczne leżące na klawikordzie. Kiedy na noc spuszczamy się do kopalni na robotę, trudno nazajutrz przespać dzień cały, to człowiek siędzie i dłubie takie drobiazgi, a państwo ze świata zwiedzający kopalnie, rade nabywa pamiątki z Wieliczki, a jak się jaka większa sztuka wyrobi, to chętnie też więcéj płacą za nią. Pod ziemią trzeba pracować, to się rad też człek zabawia na Bożym świecie takiemi filiputkami albo też muzyką.

„Czy Kazimierz nie trudni się temi robotami?“

Górnik rzucił tylko smutnie ręką i wskazał na stół na którym leżały papiery i stały półki z książkami.

„To jego warstat nieszczęsny“, rzekł do mnie po chwili i zadumał się.

Spojrzałem po tym stole i po półkach z książkami, których parę set być mogło. Wszystko było tak czysto, tak systematycznie ułożone i na stole i w półkach, z taką nawet powiem wykwintnością, iż nie mogłem pojąć tego aby człowiek niespełna rozumu siadywał przy tym stoliku i pracował przy nim. Jeszcze więcéj zastanowiło mnie godło czterech wierszy nad oknem na ścianie przepisane bardzo staranną ręką kaligraficznie. Były to cztéry wiersze z Szyllera, które dla mnie wskazówką były nastroju duchowego mego przyjaciela młodości:

„In des Herzens heilig stille Räume,
Must du fliehen aus des Lebens Drang,
Freiheit wohnt nur in dem Land der Träume,
Und die Schönheit — nur in dem Gesang.“

(C. d. n.)

PRZĄŚNICZKA.



I.

Przy kołowrotku siadła,

I snuła białą nić:

Z oczek jéj łezka spadła,

Serce poczęło bić...

II.

O powiedz, powiedz, mała,

Czem wstrzymać łez twych bieg?

Przędza twa lekka, biała,

Niby majowy śnieg.

III.

Wystroisz się w niedzielę,

Tylko mi wierzyć chciéj:

Zazdrościć ci, w kościele

Będą, bielizny twéj...

IV.

I za czém łkasz dziewczyno,

Drzyż jak od wiatru liść?

Nitka twa — z pajęczyną

W zawody może iść...

V.

Tu przerwał głos dziewczyny,

Mówiła mi ze łzą:

— Ja bym od pajęczyny,

Cieńszą mieć chciała ją!...

W. Bełza.

KOBIETY NERWOWE

napisał

Dr. Sfinks.

Niedawno przy kieliszkach starego węgrzyna siedziało nas razem dwunastu zaprzyjaźnionych z sobą lekarzy jednéj szkoły — wydarzenie rzadkie! Było to po ostatniéj wojnie; szukaliśmy się wzajem, ażeby odymioną prochem przyjaźń znowu odświeżyć. Naturalnie mówiono wiele i głośno o przyjemnościach i nieprzyjemnościach praktyki lekarskiéj. „Widzi Bóg“, rozpoczął jeden, „wszystkie nerwowe niewiasty waszego miasta lgną do mnie!“ „Nie, do mnie! — do mnie! — do mnie!“ zawołano razem ze wszystkich stron. Sprzeczka ztąd wszczęta zakończyła się wnioskiem, że liczba cierpiących na nerwy kobiet niezawodnie być musi większą niż wszyscy sądzili dotąd.

Gdyby czytelnik łaskawy wnosić chciał z tego com wyżéj powiedział, że lekarze nie pragną pacyentów podobnego rodzaju, myliłby się bardzo; pacyenci bowiem ci są okrasą praktyki lekarskiéj, która bez nich nadto byłaby jałową i stała się czystém rzemiosłem. Zmiana nieustanna skarg i radości, nadziei i rozpaczy, czci i dąsów, ubóstwienia i nienawiści, wszystkie te symptomata towarzyszące chorym na nerwy, stają się po pewnym czasie dla lekarza praktycznego potrzebą i uprzyjemniają poniekąd codzienne jego kłusowanie po mieście. Chorzy na nerwy są prócz tego ową częścią praktyki lekarskiéj, która najwięcej przynosi dochodów, a same damy, skoro są w pierwszém stadium entuzyazmu, stanowią awangardę zajmującą się polecaniem lekarza w coraz dalszych kołach.

„Cóż to więc jest dama nerwowa?“ zapyta się może czytelnik.

Nerwowa dama jest — jest — nie, nie wiem jak określić. Pojęcie to nie da się zdefiniować wedle metody szkólnéj.

U nerwowych niewiast spostrzegać się dają wszystkie możliwe ataki nerwowe, które w ogóle jako wyniki przerwanéj funkcyi nerwów, a więc najrozmaitsze nieregularności w funkcyi czucia, ruchu i myślenia, objawiają się w najrozmaitszych przypadkach i odmianach — lecz z tém ważném zastrzeżeniem, że prawdziwego przytém organicznego cierpienia łuku nerwowego wykazać nie podobna. Mózg, łuk pacierzowy, same pnie nerwowe i wszystkie inne, zwykle do życia potrzebne organa są przytém zupełnie lub stosunkowo zdrowemi. Ataki nerwowe powstają tu więc przez same komunikacye nerwowe — przez sympatyą jak dawniéj mówiono, a jak teraz refleksem i irradyacyą.

System nerwowy jest jak wiadomo, do elektrycznego telegrafu podobnym aparatem komunikacyjnym, w którym miliony małych rurek komunikują wrażenia świata zewnętrznego i uczucia własnego ciała do organu (zbornego) centralnego, podczas kiedy tyleż milionów odprowadza nagromadzone i przerobione w organie centralnym (mózgu i łuku pacierzowym) ataki do organów ruchu, do muszkułów, gdzie się takowe objawiają w formie mowy lub czynności lub w mniéj uderzających poruszeniach serca, organów oddychania, trawienia i wielu innych. Proces ten może być po części wstrzymanym lub opóźnionym przez siłę mózgu lub z swawoli. W części jednak objawia się takowy mimo to w nieulegających nam poruszeniach serca, kiszek itp. lub też w mimowolnych tak zwanych kurczowych poruszeniach zewnętrznych grup muszkułowych. Proszek wpadłszy w oko, sprawia, że się takowe zamyka, a łza spływa po licu; pod wpływem ukłócia palca drży ręka, w skutek oparzenia ręki całe ciało. Są to przykłady owego „refleksu nerwowego“, jak je lekarze nazywają; możnaby ich tysiące przytoczyć. W przypadkach tych przechodzi pewne drażnienie nerwowe, jakie spotkało nerwy czucia, za pośrednictwem organów centralnych na pewne nerwy ruchu, sprowadzając w należących do nich muszkułach kurcz. Jest to najpospolitszy i najwięcéj znany przypadek. Drażnienie to jednak może i z jednego nerwu czucia przeskoczyć na drugi podobny: silne stłuczenie kolana lub innéj jeszcze dotkliwszéj części wywołuje szum w uszach; wzburzenie żółci i zepsucie żołądka budzi uśpiony ból zębów; cierpiący na kamienie żółciowe czuje ból w ramieniu; robaki w kiszkach wywołują świerzbienie nosa. Drażnieniem można nawet doprowadzić do przerwania i ubezwładnienia pewnych ruchów i uczuć; jakoż widzimy, że gwałtowna trwoga wywołuje nieczułość za zewnętrzne bóle a gwałtowny przestrach przerywa bicie serca.

Owóż cztéry te, wzmiankowane powyżéj formy główne, refleksem nerwowym (irradyacyą) zawarunkowane czynności nerwowe: drażnienie uczuć (bóle itp.) lub ruchów (kurcz), ubezwładnienie uczuć (bezuczuciowość) lub ruchów objawiają się u tak zwanych kobiet nerwowych, częścią w niższych częścią w wyższych (myśleniu służących) obszarach systemu nerwowego. Istota tak zwanéj słabości nerwowéj na tém właśnie polega, że mimowolna ta komunikacya nerwowa, refleks ten nerwowy za łatwo, za szybko, za gwałtownie się odbywa.

Przyczyny i źródła téj chorobliwie spotęgowanéj drażliwości refleksyjnéj wielu dam mogą być bardzo rozmaite. Organizm niewieści sam przez się jest duchowo i cieleśnie (czego my lekarze, jak wiadomo, nie rozłączamy) daleko delikatniejszy i wrażliwszy a z powodu stanowiska swego społecznego więcéj uczuciowy tj. więcéj na to skazany, by uczucia swe krył w sobie. U europejskich, tak zwanych cywilizowanych ludów całe wychowanie i życie niewiast wykształceńszych, przynajmniéj po miastach ku temu jest skierowane, by zdolność tę uczuciową spotęgować po nad miarę zwykłą i kosztem ruchu udelikatnić. Niewiasty i panny muszą być z jednéj strony do najwyższego stopnia delikatne i uczuciowe, a z drugiéj zapobiega się przesadzonemi pojęciami o przyzwoitości towarzyskiéj, mianowicie nieszczęsném owém „Nie przystoi“ naturalnemu przypływowi i odpływowi tych uczuć przez ruch t. j. przez wolne działania i czynności. Siłę do pracy uważa się za surowość, korzystne za-

trudnienie za poniżającą pracę. Wielka liczba dzisiejszych kobiet naszych zmuszoną jest życie swoje przepędzać na bezczynności lub niepotrzebnych fraszkach. Wielka liczba niewiast musi się na całe życie wyrzec małżeństwa lub dopiero późno bez udziału serca a często i bez nadziei macierzyństwa iść za mąż a przeto zamknąć w sobie na całe życie uczucia niezadowolnione w owém właśnie zadaniu życia, które nad całą istnością kobiety panuje. Czyż podobna się więc dziwić temu lub urągać, jeżeli niezliczona ilość niewiast naszych czasów i w naszym kraju przepełnioną jest jak baterya elektryczna chorobliwemi uczuciami i jeżeli uczucia te objawiają się przy lada jakiéj sposobności przez chorobliwy refleks nerwowy, kurcze, bóle, ubezwładnienie lub duchowe przewrotności? zapewne że nie.

Źródło jednak przesadzonéj drażliwości reflekcyjnéj jest często u chorującéj na nerwy lokalnéj natury, o ile choroba pojedyńczego w ciele organu, drażni wewnątrz ciała nerwy, które wrażenia te komunikują organowi centralnemu — mózgu i łuku pacierzowego. Wystawmy sobie człowieka mającego bolące bezustannie miejsce, a który zmuszony jest jednak do tajenia każdego objawu bólu — lub konia, którego silna trzyma ręka, podczas kiedy uprząż bije go bezustannie po nogach lub gwóźdź w podkowie miękie kole ciało; czyż dziwić się można, jeżeli w podobnych przypadkach, nadmiar uciąźliwego uczucia wychucha nagle i w kurczach się objawia? Podobnym tedy jest stan niektórych niewiast hysterycznych, które właściwego swego cierpienia cielesnego objawić nie mogą lub nie chcą.

Wzmiankowane to cierpienie cielesne napada bardzo często, lecz bynajmniéj nie za każdą razą, niektóre organa (Hystera), i co do nich należy. Stara medycyna, miała słuszność nazywając wzmiankowaną chorobę nerwową Hysterią, t.j. chorobą macierzyńską, dla czego też klasie tych kobiet nadają i dziś jeszcze miano „hysterycznych.“ Rodzaj choroby organicznéj może przytem być bardzo rozmaity: napływ krwi, tejże zapalenie i jego skutki, (katary, upławy, wrzodki, zgęszczenia, stwardnienia), przewroty, zmiany formy i położenia tego organu, zdarzają się nader często i w najrozmaitszych kombinacyach. Najgorszem przytem jest to, że choroby te organiczne poznane być mogą wszystkie tylko przez pewne techniczne obserwacye, które dla każdéj niewiasty są naturalnie arcywstrętnemi. Dla tego powierzają się podobne pacyentki zwyczajnie i przez długie lata akuszerkom, które na chorobach tych zgoła się nie znają. Organiczne cierpienie choréj staje się przytem naturalnie coraz gorszem, a system nerwowy coraz drażliwszym.

Z innych organów, będących powodem hysterycznych przypadłości, przyczyniają się do tego najczęściéj organa trawienia; rozmaite ich przypadłości, najczęściéj nagromadzenie gazów, zkąd stare nazwisko waporów dla tego stanu nerwowego, robaki, niekiedy wrzody w żołądku, stwardniałości wątroby, kamienie żółciowo i inne cierpienia wątroby. Rzadziéj są powodem tych cierpień organa piersiowe: choroby serca, tuberkuły płucowe. Że łuk pacierzowy w ścisłym z owemi przepadłościami nerwowemi stoi stósunku, powiedzieliśmy już wyżéj. W nowszych czasach odkryto, że u kobiet na nerwy cierpiących zwykle jedna lub więcéj chrząstek, najczęściéj czwarta do szóstéj bolała przy naciśnięciu na kolec jéj przedłużony: nazwano to irrytacyą spiralną i uważano za znak pewnego rodzaju affekcyi łuku pacierzowego. Ostatnie to twierdzenie nie potwierdziło się, lecz fakt drażliwości chrząstek znaleźć można u wszystkich prawie hysterycznych niewiast. Bezsilna, wodnista krew (blednica) zdarza się często i nadweręża w każdym razie żywienie i siłę ustroju nerwowego.

(Dokończ. nast.)

NA TUŁACTWIE.

Luźne kartki z teki J. Gordona.

I.

Więzień w masce żelaznéj. — Szamyl i Ab-del-Kader, a dzisiejsi cywilizatorowie. — „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Pustą stała izba;
Ale więźniowi duszno, jakby ciżba
Wkoło niego, jakby gniotła zmora;
A na ramię spadała głowa chora,
I westchnienie się rwało...

„Wiesz, co ci powiem?“ rzekł pan S*** wpatrując się w rozwieszoną mapę na ścianie hotelu w Nicei.

„Nie wiem, bracie!“

„Toż my jesteśmy w pobliżu wyspy św. Małgorzaty, historycznego miejsca owéj tajemniczéj maski... pocóż nam się zatrzymywać w Nicei?... będziemy tu z powrotem. Patrz! czy widzisz ten mały punkcik na południu Prowancyi? Ruszajmy tam!“

„A z tamtąd do Hiszpanii, dla zwiedzenia tortur po inkwizyi; wszak to znowu będzie blizko — nieprawdaż?“

„Ciężka z tobą sprawa! ale dalibóg zgrzeszymy wielce, jeżeli nie zwiedzimy wyspy. Toż sposobność taka rzadko się komu z naszych rodaków nadarza.“

„Nie miłe mi są miejsca zhańbione szubienicą, pręgierzem lub grobami zbudowanemi dla myślicieli przez twórców monarchii na niesprawiedliwości i gwałcie opartych. Lękam się murów przesiąkłych krwią i łzami, na których ciężą przekleństwa niewoli.“

„A ja uważam je za poświęcony ołtarz, przy którém westchnienie jest wzniosłym protestem zbrodni dokonywanych przez mocarzy skamieniałego serca. O! jeśli mię choć cokolwiek szacujesz, to popłyniemy na wyspę Małgosi.“

Popłynęliśmy więc.

Za przybyciem piechór francuzki w granatowéj kurtce i czerwonych pantalonach, zatrzymał nas w bramie cytadeli. I dano znać komendantowi placu, iż dwaj Polacy żądają zwiedzić fortecę.

Komendant zaprosił nas do siebie. I on był w Polsce i mile o niéj wspominał. Dozwolił nam zostawać na wy-

spie, jak długo się podoba; a przed odejściem kazał zaprowadzić do lekarza załogi, naszego ziomka, przepraszając, iż sam nam nie towarzyszy, będąc z nim w nieporozumieniu.

Tak więc na bezludnéj nawet wyspie, gdzie nic nie było prócz koszar i jeńców Beduinów, rezydował polski tułacz, jak samotny jesienny listek, zagnany tam burzliwym wiatrem.

Przyjął on nas bardzo gościnnie i pokazał ciekawości miejscowe, służąc za przewodnika. Otóż najgłówniejszą było więzienie, gdzie został spełniony jeden z głośnych a dotąd zagadkowych czynów nowożytnych dziejów. Opublikowanie tego faktu na siedmiu stronnicach, sprzedawanych w krociach egzemplarzy podczas rewolucyi francuzkiéj z 89 roku, przyniosło autorowi więcéj dochodu, niż wszystkie razem pisma niejednemu z autorów w Galicyi.

Potém mnóstwo osób o tém się rozpisywało, badało, szperało, chcąc rozwiązać tajemnicę, a mianowicie: kto właściwie był owym domniemanym więźniem w masce żelaznéj na wyspie (St. Margueritte); czy syn Ludwika XIV, czy superintendent Fouquet lub kto inny?

To pewne, że w r. 1745 po raz pierwszy rozszedł się już był głuchy szmer po świecie o przerażającem przenoszeniu z kaźni do kaźni nieznanego człowieka stanu, którego dozorcy w najściślejszym mieli utrzymywać sekrecie na wyspie Małgorzaty, a następnie w Bastylli, gdzie zakończył życie.

Najwięcéj upowszechnione o tém podanie jest, że Ludwik XIV, oprócz prawego syna Delfina mając drugiego pobocznego, którego nazwano Giafer, ci dwaj kłócili się ciągle i Giafer tak się zapomniał, że uderzył w policzek legalnego następcę tronu, Delfina, co wedle kodeksu podlegało karze śmierci.

Zawiadomiony o tém król, zrobiwszy naradę z najzaufańszym z ministrów, rozkazał wysłać winowajcę do armii nad granicę Flandryi, udać za poległego na wojnie, a tymczasem w nocy zamknąć go na wieczyste czasy; dla otumanienia zaś wojska wyprawić pogrzeb książęcy podrzuconemu na jego miejsce trupowi.

Pan kazał, sługa musi. Polecenie królewskie zostało ściśle wykonane. Giafera uwięziono pod strażą, a starego jego służącego zamordowano w drodze i poraniono mu twarz, żeby nie był poznanym. Tak więc zginął i jedyny świadek żywota młodziana książęcego rodu.

Komendant załogi na wyspie Małgorzaty — jeśli można wierzyć podaniom i kronikom — traktował więźnia z najwyższém uszanowaniem, lecz, trzymając się surowych przepisów, nie pokazywał go nikomu, i sam przyjmował potrawy u drzwi komnaty od służby, aby mu usługiwać do stołu.

Giaferowi udało się raz wyryć nożem swoje nazwisko na srebrnym talerzu. Pomywacz, któremu owe naczynie wpadło do ręki, spodziewając się nagrody za denuncyacyę, zaniósł je do komendanta, ale przerachował się biedaczysko, gdyż ten natychmiast kazał go stracić przez obawę, by nie zdradził tajemnicy. Jedna zbrodnia pociąga za sobą drugą.

Autor „Wieku Ludwika XIV“ potwierdzając wiele z powyższych szczegółów, pod względem talerza, różni się z podaniem. Objaśnia bowiem Voltaire, jakoby ów talerz był wyrzucony oknem z kazamaty przez więźnia i znaleziony przez rybaka, który oddał go komendantowi. Ostatni przestraszony wypadkiem, miał zapytać:

„Czy przeczytałeś napis na naczyniu, i czy je kto widział w twem ręku?“

„Nie umiem czytać“, odpowiedział rybak, „dopiero com je znalazł i nikt więcéj jeszcze go nie widział.“

Komendant po odbytem śledztwie dodał:

„Szczęście twoje, że czytać nie umiesz.“

Ostrożność to zbyteczna, gdyż:

Jakkolwiek się zbrodnie troskliwie ukrywa,
Zawsze prawda wyjść musi na wierzch jak oliwa.

Zresztą książętom najtrudniej utrzymać zbrodnią w tajemnicy. Są oni bowiem zmuszeni powierzać ją licznym indywiduom, pomiędzy któremi znajdzie się zawsze jakiś papla, jeśli nie z nałogu, to z chęci zysku, albo téż z powodu niewdzięczności lub zawiści.

Otóż ludzie podejrzeli, że Giefer był zmuszony nosić zawsze maskę na twarzy pod groźbą śmierci, i że lubił cienką bieliznę, jako téż grę na gitarze.

Mnóstwo atali podań o ukradkowych rozmowach więźnia przez komin z mieszkańcami pierwszego piętra, o wyrzuconych korespondencyach, i t. d., staje się baśnią dla każdego, kto zwiędził osobiście jego więzienie, stojące do tego czasu.

Jestto o grubych murach, mała, osobna, z jednym parterem budowa, na wzgórzu wyniesionem o kilkunaście stóp nad poziom morza, w pobliskości skalistego brzegu. Jeden jest wchód do niéj; z poprzecznego zaś korytarza wstępuje się dwoma osobnemi drzwiami do dwóch pustych izb z ceglaną posadzką, z których mniejsza służyła swojego czasu za kaplicę. Żadnego tam śladu po uwięzionym królewiczu nie znać, ani żadnéj maski nie zostało. Ząb czasu zgryzł wszystko.

Obiedwie izby nie posiadają komina z powodu ciepłego klimatu Prowancyi, i mają po jednem oknie, opatrzonem gęstą potrójną kratą, od strony Francyi, zarosłéj gajami drzew oliwnych i morwów, gdzie się chodują jedwabniki.

Żaden talerz, o którym wzmiankuje Voltaire, wyrzuconym przez okno być nie mógł, ani prowadzoną kominem rozmowa z mieszkańcami pierwszego piętra, które nie istniało; — parterowy budynek ma tylko zamiast dachu, kamienny, płaski, zwyczajem włoskim, taras spacerowy.

Cokolwiekbądź, rys powyższy, to zmuszenie bezprawne ofiary, jakąby ona nie była, do obchodzenia swego pogrzebu za życia w ciężkiem więzieniu na odludnéj wyspie, tudzież w jednéj z wieżyc Bastylli, przy zburzeniu któréj znaleziono urzędowe dokumenta o nieznanéj masce, (podobnie jak w obecnéj chwili znajdują powstańcy w klasztorach paryzkich nie z naszych dziejów zamurowane ofiary), stanowi czarną skazę w historyi panowania Ludwika.

Ale takie są serca samowładzców. Szczycą się oni zbrodnią ulegalizowaną, a starannie ukrywają swe prywatne brudy.

* * *

Tegoż samego dnia poszliśmy obejrzeć z blizka jeńców Beduinów, używających przechadzki w przeznaczonym na to

dziedzińcu. Byli to sami naczelnicy koczujących szczepów afrykańskich. Ich wzrok przenikliwy, ogorzałe twarze z zakrzywionemi nosy, przypominającemi sępów pustyni, silne na mnie zrobiły wrażenie.

Z tamtąd udaliśmy się do szpitala Beduinek. Rozumie się, mój rodak lekarz czynił honory tego zakładu. Nikomu tam z mężczyzn oprócz niego wchodzić nie było wolno; na przedstawienie atoli, iż jestem także przejeżdżającym wnuczkiem Eskulapa, nadzorca uśmiechając się dwuznacznie, dozwolił mi wnijścia. Chcąc się należycie wywiązać z przyjętéj na się roli, macałem pulsa Arabek, patrząc z powagą na zegarek. Niektóre z nich szczebiotały już trochę po francuzku.

Arabki są udatnéj budowy ciała i odznaczają się pięknością dużych czarnych oczów, cera zaś ich jest blada, oliwkowa. Za ubiór mają tylko koszule i wełniane zarzutki, chodzą boso, na obnażonych rękach i nogach noszą miedziane bransoletki, w które lubią przystrajać i swoje dzieci. Niektóre do bransoletek przyczepiają grelotki, co dodaje wdzięku ich chodowi. Krucze swe włosy ucinają do ramion — a mężczyzni je golą, zostawiając jednakże zarost na twarzy.

Nie spostrzegłem żadnéj z kobiet tłustéj i silnéj, w których to przymiotach bardzo smakują zarówno Arabowie, jako i Tatarzy, a nawet Moskale, i w ogóle ludy azyatyckie, tak jak Hiszpanie w suchotnicach.

Wieczorem poschodzili się do doktora wojskowi i przy zielonym stoliku, kieliszkach i cygarach prowadzono żołnierskie gawędy. Niektórzy opowiadali swoje nader ciekawe przygody z pobytu w Algierze. Szczególniéj jeden zajął mą uwagę charakterystyczną opowieścią dziwnych kolei losu swojego.

Pomiędzy niewolnikami, rzecze, zaprowadzonemi na sprzedaż, podczas gdy byłem jeńcem Ab-del-Kadera, znajdowała się także piętnasto-letnia murzynka. Śliczna to była dziewoja o ognistych ślepiach z wyrazem łagodności i tęsknoty; miała przy tém pysio wiśniowy, z którego wyglądały zalotnie dwa rzędy zębów, białych jak kość słoniowa, nóżki drobne, rasowe, zgrabniejsza od tych, co mają Andaluzki. I dodać wypada wysmukłą kibić, któréj zaokrąglenia rysowały się wdzięcznie na białéj opończy, przepasanéj czerwonym sznurkiem przeciw zwyczajowi murzynek.

Nieszczęśliwe to dziecko musiało wprzód należeć do majętnych właścicieli, wszystko zwiastowało w niéj porządek, schludność przy dobrem zdrowiu, a może też i przeznaczeniem jéj było uszczęśliwić jakiego beja lub emira.

Popadłszy jednocześnie ze mną w szpony, płakała, narzekała, kwiliła nieboga, odmawiając sobie wszelkiego posiłku.

(C. d. n.)

ZŁOTY OSIEŁ.

BAJKA.

W pewnym dworze zwierzęta:
Konie, woły i cielęta,
Ponieważ o nie dbano,
Rznięto bito i jeść nie dawano,
Postanowiły z godnością żyć,
To jest: dać się rznąć i bić,
Ale nie liżąc pastuchom łapy
Ani całować harapy,
Ni ogłaszać rykiem, kwikiem,
Jak miło bydź niewolnikiem.
„Wszak", mówił konik, „niewola mniéj gniecie,
Gdy jéj liberyi nie zwiesim na grzbiecie."
Uczciwa rada przypadła do smaku,
I nie było między nimi
Słychać o żadnym dworaku;
Byli biednymi, ale nie podłymi.
Aż właściciel doszedł spisku
I rozkazał na pastwisku
Złapać osła na postronek;
Ozłocił mu uszy obie,
Galonkiem związał ogonek,
I rzekł: „Leib-orłem cię robię."
Osieł bryknął — i wesoły
Wpadł pomiędzy konie, woły:
„Czy widzicie te oznaki,
Pan mię wyniósł nad charłaki!"
I, błyskając uchem złotém
Tak pozawracał im głowy,
Że o godności zwierzęcéj potém
Nie było mowy.
W miarę jak stygnął duch,
Nie tylko uszy, lecz brzuch,
Każdy sobie złocić dał
A pan się śmiał.
I rzekł: „mój sekretarzu, zapisz
Dobre lekarstwo na upartą cnotę:
Że kiedy wróbla na plewy nie złapiesz,
Ambitnych zawsze złapiesz na pozłotę."

*) Bajeczka ta, wyszła z pod pióra utalentowanego i znanego u nas poety. — Ponieważ autor wzbronił podpisania go pod tym utworem — stosujemy się więc do jego żądania. (Przyp. Redakcyi.)

JÓZEF WYBICKI

napisał

Karol Graff.

(Patrz rycinę w Nrze 24.)

Józef Wybicki, senator i wojewoda Królestwa Polskiego, urodził się dnia 29 Września 1747 r., we wsi dziedzicznéj Bendominie, w województwie pomorskiem, z ojca Piotra i Konstancyi z Lnińskich. Pierwsze nauki pobierał w szkołach OO. Jezuitów na Szotlandzie w Gdańsku, a ztamtąd oddany po śmierci ojca przez opiekuna swego, a zarazem stryja ks. Franciszka Wybickiego do kancelaryi regenta Płacheckiego w Skorszewie. Uważano natenczas kancelaryę za szkołę, w któréj młodzież do karyery rządowéj przeznaczona kształcić się musiała. Śmierć przedwczesna ks. Franciszka przerwała nieco jego nauki i nie pozwoliła urzeczywistnić pierwotnego planu Józefa udania się na akademią zagraniczną.

W r. 1764 po śmierci Augusta II. wezwał ówczesny wojewoda pomorski Mostowski duszą i ciałem oddany partyi Czartoryskich, wszystką szlachtę pomorską do wzięcia udziału w elekcyi nowego króla. Pomorzanie bowiem jeździli na mocy dawnego swego prawa na wszystkie sejmy viritim t. j. wszyscy bez wyborów poselskich. Jako kancelista dostał się Wybicki do orszaku wojewody. Wrażenie jakie wywiózł młody Józef z Warszawy, nie pozostało bez wpływu na dalszy los jego życia. Najwymowniejsi natenczas ludzie, którzy publicznie w obronie swych stronnictw występowali, byli prawnikami; chęć zaś młodzieńca, ażeby dojść do znacznego w świecie stanowiska, utwierdziła go w przekonaniu, że tylko na drodze nauki rozpoczętéj urzeczywistnić będzie mógł swoje marzenia. Mowa, którą powiedział na przywitanie nowego wojewody pomorskiego Flemminga, dopomogła mu do urzędu subdelegata grodzkiego.

Na sejm w r. 1768 zwołany wybrano go posłem z ziemi pomorskiéj. Celem sejmu było załatwienie sprawy z dyssydentami; w jaki się sposób sejm z zadania wywiązał, wiemy z historyi; załatwiono sprawę w myśl carowéj Katarzyny, a posłowie Sołtyk Kajetan, biskup krakowski, Załuski biskup kijowski i hetman polny koronny Rzewuski, postępujący wbrew woli Repnina, w Sybir wywiezieni zostali. Po zalimitowaniu sejmu, pozostał Wybicki w Warszawie celem dalszego kształcenia się i korzystania z bogatych zasobów biblioteki Załuskich.

Nadeszło wreszcie r. 1768 otwarcie sejmu pod laską ks. Radziwiłła. Po zagajeniu sejmu wystąpił pierwszy Wybicki, prosząc o głos. Szmer złowrogi powstaje na sali, król wstaje z tronu i rozkazuje Czapskiemu podkomorzemu chełmińskiemu, jako ziomkowi i znajomemu Wybickiego, przyprowadzić go do siebie. Wybicki na wezwanie nie zważa, a korzystając z powstałéj ciszy, w te się odzywa słowa: „Ponieważ książe marszałku nie dajesz mi głosu, pomimo prawa, którego nic zmazać nie potrafi, a które posłowi wolnemu na każdym sejmie mówić pozwala, oświadczam przynajmniéj, iż, gdy zwróconych na łono senatu uwięzionych senatorów nie widzę, nie widzę wolnego sejmu, ale tylko gwałt i przemoc obcą; przeciwko téj więc protestuję.“

Że Wybicki z powodu wyrzeczenia powyższéj protestacyi nie uległ podobnemu, co biskup Sołtyk losowi, przypisać to należy bojaźni Repnina, ażeby przez nowy gwałt nie poruszyć rozdrażnionych i tak już umysłów i nie wywołać otwartego buntu. Po natychmiastowém przez króla solwowaniu sesyi wyszedł Wybicki z sali w towarzystwie sługi swego Łukowicza, posłowie bowiem wszyscy nie chcąc się narażać na gniew Repnina unikali go, jedni wyrzekając się z Wybickim solidarności, a drudzy, a była ich niestety większa część, nie chcąc utracić dość znacznéj pensyi, którą jako zdrajcy kraju od Repnina pobierali. Listę tych niecnych synów ojczyzny znalazła rewolucya 1794. r. w pałacu Igelströma.

Wybicki ścigany przez kozaków i policyę moskiewską wyjechał z Warszawy i udał się na Piotrków, Kraków do księstwa Spizkiego na Węgrzech. Obrany przez konfederacyę barską konsyliarzem generalnym udał się do Baru; po upadku tegoż miasta uszedł z Krasińskim marszałkiem konfederacyi i Potockimi do Turcyi, a ztamtąd przez Węgry do Wiednia. Do czasu pierwszego rozbioru 1772. wysyłanym był przez generalicyę konfederacyi barskiéj, która w Eperies zasiadała, kilka razy do Berlina, ażeby za pośrednictwem generałowéj Skórzewskiéj uzyskać pomoc dla konfederacyi od Fryderyka W. W Wiedniu był pełnomocnikiem konfederacyi, otrzymawszy poprzednio patent pułkownika, do odbierania tamże zasiłków pieniężnych przysyłanych z Francyi. W r. 1773. przeniósł się do majątku swego na Pomorzu, już wtenczas do Prus należącym, a przedawszy następnie podwojewództwo poznańskie, które od ks. Jabłonowskiego w darze otrzymał, wyniósł się do Warszawy. Wyznaczony przez komisyę edukacyjną na wizytatora szkół na Litwie chlubnie się z polecenia swego wywiązał. Powróciwszy z objazdu swego do Warszawy wezwany został przez Andrzeja Zamojskiego do pomocy w napisaniu projektu do nowéj konstytucyi, który przyszłemu sejmowi przedłożyć miano. Wielki miłośnik ludu miał zawsze na myśli ulżyć klasie niższéj i przeprowadzić równouprawnienie wszystkich klas w narodzie. Z tą myślą zgadzał się i Andrzéj Zamojski, a Wybicki chcąc przysposobić umysły do przyszłego sejmu wydał w tym celu dzieło: Myśli polityczne o wolności cywilnéj. Gorliwość, z jaką w téj kwestyi występował, wywołała tak wielkie pomiędzy szlachtą rozjątrzenie, że postanowiono uczynić go, jak mówiono, nieszkodliwym. Przestrzeżony przez Kazimierza Raczyńskiego, generała wielkopolskiego, uszedł szczęśliwie zamachu, który na niego przygotowano. Pomimo zabiegów samego nawet króla, nie wybrano go posłem na sejm, a Wybicki z żalem od czynności politycznych usunąć się musiał, nie mogąc występować w obronie projektu swego i Andrzeja Zamojskiego.

Podczas wybuchu powstania d. 17 Kwietnia 1794 roku był Wybicki w Warszawie w liczbie walczących obrońców ojczyzny, a po wypędzeniu Moskali należał razem z Zakrzewskim i Wolfersem do rady miejskiéj. Na tém to stanowisku jak najchlubniéj wywiązał się Wybicki z położonego w nim zaufania; jemu to zawdzięcza Warszawa, że tłumy ludu, podbechtane przez demagogów z Francyi przybyłych, porzuciły broń bratobójczą; jemu to zawdzięcza generał Dąbrowski, że nie zginął pod nożami motłochu ulicznego kiedy oskarżony przez ambitnego starostę brańskiego do Warszawy przybył. Była to najszczytniejsza dla Wybickiego chwila. Kiedy tłum domagając się śmierci ludzi, których zdrajcami nazywał, kiedy członkowie rady miejskiéj głowy potraciwszy nie wiedzieli co czynić, on sam jeden z narażeniem życia tłumy uspakajał, miasto od katastrofy a kraj od hańby uchronił.

Po przybyciu generała Kościuszki do Warszawy przydany został Wybicki, jako pełnomocnik rządu narodowego, do korpusu gen. Dąbrowskiego, który podążył do Wielkopolski, ażeby ją nakłonić do czynniejszego udziału w powstaniu i króla pruskiego od złączenia się z Moskalami odciągnąć. Po upadku powstania, odsądzony od czci i wiary jako zbrodniarz stanu przez trzy rządy zaborcze, wyjechał do Paryża. Tutaj to podał Wybicki dyrektoryatowi projekt utworzenia ze szczątków armii polskiéj znajdujących się we Francyi korpusu na poparcie działań gen. Bonapartego we Włoszech. Plan ten został przyjętym; Wybicki zatém był twórcą korpusu, legionem polskim zwanego, który rozniósł za morza sławę i dzielność polskiego oręża.

Otrzymawszy od rządu pruskiego pozwolenie powrotu do Prus', zamieszkał w r. 1802 we Wrocławiu, a ztamtąd przeniósł się r. 1804 do Drezna, gdzie go zwycięzka armia francuzka po bitwie pod Jeną zastała. Polecony cesarzowi Francuzów udał się Wybicki r. 1806 do Berlina i tutaj to na wezwanie Napoleona napisał w imieniu tegoż znaną proklamacyą do Polaków, w któréj nieszczęśliwemu narodowi tyle na przyszłość obiecywał. Do czasu przybycia Napoleona do Poznania, przeprowadził Wybicki z generałem Dąbrowskim reorganizacyę regencyi i udał się następnie w tym samym celu do Warszawy. Po ustanowieniu księstwa Warszawskiego był Wybicki do r. 1814 członkiem komisyi rządzącéj razem z Stanisławem Małachowskim, Sobolewskim, Brezą, Lubieńskim i innymi.

W r. 1815 po ustanowienia królestwa kongresowego przeniósł się Wybicki do majątku swego Manieczki, gdzie życia chwalebnego dokonał. Przejęty jak najgorętszą miłością ojczyzny, bez zamiarów ambitnych, nieraz znajdował się Wybicki w niedostatkach, utrzymując się przez cały prawie ciąg pracy publicznéj z małych intrat prywatnego swego majątku. Ofiarowanéj przez cesarza Napoleona donacyi w posiadłościach koronnych Wybicki nie przyjął, nie chcąc popaść choć w najmniejsze podejrzenie, że poświęca się i pracuje dla kraju w zamiarach osobistych, o co go wielu i tak już posądzało.

Z dzieci pozostał, o ile mi wiadomo, tylko syn Józef, który będąc ostatnim z téj linii po mieczu, pozostawił jednę córkę, która poszła za Rozdrażewskiego.

W ziemi michałowskiéj znajdują się dwie linie familii tego nazwiska: „w Niewierzu resp. w Tylicach i w Dzierżnie, których protoplasta jest stryj wojewody Maciéj Wybicki, sędzia mirachowski.

Przegląd Teatralny.

Lessing gdzieś mówi, że jeżeli kogo w pobocznych rolach początkujący aktor tak dalece gorszy, iż krzywi nosem na całość przedstawienia, to niech jedzie do Utopii, w któréj teatrach i lampiarze nawet są Garrickami.

Poznań nie leży w Utopii — nieszukajmy więc w teatrze naszym owych cudownych lampiarzy i cieszmy się jeżeli zdarzy przedstawienie w którem wszystkie role odegrane będą niepowiemy artystycznie, ale bez dyssonansów psujących całość przedstawienia. — Bezstronnie rozbierając przedstawienia w dniach ostatnich dane, przychodzimy do przekonania, że skład trupy poznańskiéj od owego skromnego prowincyonalnego ideału jest bardzo oddalony. Co więcéj, że po blisko dwuletniem istnieniu, nietylko że ogólny skład towarzystwa p. Nowakowskiego nie zyskał na wartości, ale niestety w tył się nawet cofnął. Niewidzieliśmy przedstawienia, w któremby chociaż w części role właściwie obsadzone były, a często w skutek właśnie braku sił odpowiednich powstawały sprzeczności usposobień artystów z rolami im powierzonemi. — Roku zeszłego była pani Aszperger, przed kilkoma tygodniami była jeszcze panna J. Górecka, obie utalentowane artystki, których miejsc opróżnionych nikt dotąd nie zastąpił; a cóż już mówić o miejscach które od początku do dziś dnia na zapełnienie oczekują. Niewymagamy bynajmniéj, ażeby trupa nasza składała się z Modrzejewskich, Rapackich i Rychterów — nie — byłoby to zamknięcie oczu na warunki teatru prowincyonalnego, warunki niepocieszające i dobrze nam znane; ale pragnęliśmy ażeby teatr nasz stanął na równi przynajmniéj z teatrami polskiemi będącemi w tém samém położeniu. Znany jest nam dobrze teatr krakowski — znaliśmy kiedyś trupę Chełchowskiego, Pfeifra i innych, i widzieliśmy, że nie w lepszych okolicznościach będąc, umieli się postawić na drodze prowadzącéj do wyżyn sztuki. U nas jeżeli nowo grana sztuka lub jedyna pani Nowakowska i to bardzo rzadko, talentem swym niezwabi publiczności, to nikt z całego składu nie stanął na tém stopniu, by nie już graną sztuką, ale grą artysty pociągnąć widzów. I w tym to właśnie leży główny powód, że teatr nasz w tenczas się tylko zapełni, jeżeli afisze ogłoszą, że sztuka jest graną: Po raz pierwszy! Po raz pierwszy! W przeciwnym razie, loże i krzesła pustkami świecą.

Bylibyśmy niesprawiedliwymi twierdząc, że skład trupy naszéj jest pozbawiony zdolnych członków. Owszem. Jest kilku młodych i wróżących przyszłość, ale jeszcze tak młodych i tak początkujących, że używanie ich do ról wybitniejszych ze szkodą gry i nawet z ich własną szkodą się dzieje. Pan Dobrzański to niewątpliwie talent mający przyszłość i jeden z najwięcéj zasługujących na uznanie. Pomimo młodego wieku ma on już pewną wprawę sceniczną, ale wszystkie te dodatnie strony nie dadzą wielkich owoców, jeżeli talent jego rozrzucać się będzie na najróżnorodniejsze role i często najprzeciwniejsze usposobieniu. Pan Wolski być może zdolny, dziś bowiem jeszcze nic wróżyć nie można, rozpoczął karyerę nie od uczenia się chodzenia po scenie, ale odgrywania ról amantów. — Z pod ręki Chełchowskiego wyszło wielu bardzo zdolnych artystów, że wspomniemy tylko Królikowskiego, Rychtera, Linkowskich. Nieodżałowanéj pamięci Dyrektor umiał w każdym zgłaszającym się młodym aspirancie do sceny odkryć wybitną cechę zdolności, któréj dopiero wtenczas pozwolił swobodnie

się rozwijać, kiedy wszystkie poprzednie techniczne studya były ukończone. W tém to właśnie główne zadanie Dyrektora spoczywa.

Do uwag nastręczających się nam w téj chwili dołączymy i tę jeszcze, że w ostatnich czasach bywały przedstawienia którym brakło nie już artystycznéj całości, ale prostéj scenicznéj jedności. Widzieliśmy zamięszania, słyszeliśmy jąkania się, zdania wypowiedziane przez grającego z roli przeciwnéj. Mówiono nam że to pochodzi z braku dobrego suflera — być może, ale publiczność o tém nie wie i źle sobie fakta podobne tłomaczy. Jedność i czystość mowy na scenie to jedno z najważniejszych zadań teatru, a témbardziéj teatru w Poznaniu, gdzie scena ma być przeciwstawieniem giermanizującym się uczuciom i językowi. Jeden mówi oglądnąć się, w miejscu obejrzeć się, drugi pieniądzmi w miejscu pieniędzmi, pojedyńcze, w miejscu proste i tysiące innych błędów i prowincyonalizmów, które nam w téj chwili na myśl nie przychodzą. Grzech to wielki i tém większy że artyści w łonie swojém mają wzory godne naśladowania. Pani Nowakowska i pan Kaliciński mowią dźwięcznie i poprawnie po polsku — wzorów więc nie brak.

Brak nam miejsca na wyliczenie wielu innych uwag, któremi się podzielić z Dyrekcyą uważamy za nasz obowiązek. Wiemy i uznajemy starania p. Nowakowskiego — nieobce nam są przeszkody z jakiemi walczyć jest zmuszony — pragniemy by je zwalczył i dobił do téj chwili szczęśliwéj, kiedy teatr nasz będzie we własnym domu, a tém samém w lepszych warunkach, żądamy ażeby publiczność udziałem swym wspomagała jego dobre chęci, ale obok tego poczuwamy się do obowiązku niekryć usterek instytucyi puplicznéj, odgrywającéj tak ważną rolę w życiu naszem.

Reassumując to cośmy wyżéj powiedzieli, zdaje się nam, że przy pewnych wypełnieniach luk próżnych w trupie naszéj i bacznéj Dyrekcyi uwadze na niektóre usterki, mielibyśmy teatr odpowiedni naszym warunkom i potrzebom. Niechodzi o wielką ilość artystów, ale o taką tylko, żeby dystrybucya ról nie zmuszała do nieuwzględnienia np. podobnych wypadków, jak grywanie przez komika ról tragicznych i odwrotnie.

Rzućmy teraz okiem na szereg ostatnich przedstawień. Mieliśmy kilka nowości i to nowości niepospolitych, że wymienimy tu tylko Febris Anrea i Epidemię. Dwom tym, najwięcéj godnym dziełom dramatycznym poświęcimy oddzielny rozbiór — dziś więc tylko na ogólnym rzucie oka poprzestaniemy. Febris Aurea właściwie w tendencyi ma pewne podobieństwo z Epidemią. Tu i tam pogoń za złotem, tu i tam owa nienasycona żądza, zamykająca serca dla wszystkich szlachetniejszych uczuć. Ale budowa jakiéj się architekci opierając na tym gruncie trzymali zupełnie jest różna. Pan Sarnecki w słabszych konturach i bledszych kolorach niż p. Narzymski przedmiot swój traktował. Febris Aurea czyli Febra złota, nosi na sobie niezaprzeczenie cechę talentu; pomysł dowcipny, typy prawdziwe, ale układ grzeszy pewną ciężkością, która widza z grą nieporywa. Przytém niektóre sceny, jak np. z guwernantką, były zbyteczne i jakby obrachowane na nerwy widzów. Skarb ukryty, ten węzeł gordyjski całéj intrygi jest pomysłem z zużytym a nawet w dzisiejszych czasach nieprawdopodobnym. Z tém wszystkiem całość nie jest bez powabu, a niektóre sceny zdawały się nam prawdziwie pięknemi... Spodziewamy się, że pomimo dosyć chłodnego przyjęcia, sztuka ta w repertuarze naszym miejsce mieć będzie.

Epidemia, komedya p. Narzymskiego, premiowana na kunkursie krakowskim, oczekiwana z wielką niecierpliwością, ściągnęła na krzesła i loże bardzo liczną publiczność. Nadzieje niezawiodły, bo powodzenie komedyi było zupełne, tém zupełniejsze że chociaż treść komedyi oparta jest na stósunkach galicyjskich, w wielu jednak rysach i do naszych dobrze się da zastósować. Pomysł naturalny i dowcipny, przeprowadzenie żywe przypominające komedye Sardou, zawiązanie zręczne, niektóre sceny, jak n. p. Karwackiego z córką, prawdziwie artystyczne, wszystko to zapewnia Epidemii nie jednodniowe tylko życie na scenach naszych. Na prędce nastręcza się nam jedna uwaga co do sceny, która ani racyi logicznéj za sobą ani estetyki nie ma. Jest to scena na balkonie, wstrętna i zbyteczna. Mógł ją autor za kulisami umieścić, a widz nicby natém nie stracił. Może wynaleźlibyśmy po dłuższem zastanowieniu jeszcze kilka drobnych usterek, ale brak czasu każe szersze uwagi na przyszłość odłożyć. Na zakończenie konstatujemy tylko, że Epidemia należy bezwątpienia do najlepszych utworów dramatycznych w ostatnich czasach napisanych, i że jest jednym z kwiatów nowszej literatury naszéj; konstatujemy to z tém większą przyjemnością, że p. Narzymski jest współpracownikiem pisma naszego. Po przesłaniu prywatnych powińszowań, winszujemy mu publicznie z tą nadzieją, że Epidemia niebędzie ostatniem dziełem utalentowanego dramaturga, i że autor na laurze słusznie zdobytem spocząć niezechce.

W poniedziałek grano Froufru. Przed kilkoma miesiącami zamieściliśmy szeroki rozbiór téj komedyi, robiącéj hałas na wszystkich europejskich scenach. W krótkości więc powtórzymy to cośmy już niegdyś mówili. Trzy akty pierwsze są arcydziełem bez zarzutu. Wszystko tam świeże, nowe, lekkie, naturalne i proste Charakter Froufrou jasny — suknia i włosy trefione w coraz inny sposób, za nią mówią i grają Ale akt czwarty i piąty są zwrotem nieszczęśliwym do scen z Pięknéj Heleny i Życia paryskiego, bez których żadne nowsze dzieło dramatyczne we Francyi powodzenia nie miało. Akt czwarty wyrzucony lub przynajmniéj w innéj formie oddany nie zrzuciłby widza z wyżyn estetycznych do błotem zwalanego rynsztoku. Akt piąty stworzony jest na to tylko, ażeby biedna Froufrou pięknie na scenie umrzeć mogła. Zapomniał autor że estetycznie umrzeć, chociażby nawet z owemi kokieteryjnemi słowami Froufrou: „włóż mi po śmierci białą z astrami suknię, bo mi w niéj bardzo pięknie", jest prawie niepodobna. W pobudkach być może ale w samym akcie śmierci piękna nie ma — jest to naturalna konieczność jak np. poprzedzające ją urodzenie.

We środę dana była Szklanka wody na benefis zasłużonéj i utalentowanéj pani Nowakowskiéj. Było to przytém pierwsze wystąpienie panny Podolskiéj. O całém tém przedstawieniu zamilczeć musimy, bo równocześnie przypada z chwilą kiedy nasz przegląd piszemy.

Za dni kilka teatr opuszcza Poznań i udaje się do Kalisza. Szczęść mu Boże! Z niecierpliwością powrotu oczekiwać będziemy.

X. Y.

Szarada.

Druga pierwsza! twoje miłe kwiecie
Sprawia ludziom tylko pierwsze trzecie,
Wszystka zato bardzo często sprawia,
Że o rzeczy w gruncie mało warte
Brat się z bratem pierwsze trzecie czwarte,
Czwartéj pierwszéj trzeciéj go pozbawia.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 24: *Ultramontanie.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Stanisławowi Damskiemu w Koźminie: Zamieścimy ale nieco później. — Pannie C. K. autorce wiersza p. t. Ocknienie, w Trzemesznie: Wierszyk dosyć ładny, ale brak mu niektórych przymiotów, i z tego powodu w Sobótce drukowany nie będzie. Za pamięć dziękujemy. — Panu S. Vincent w Poznaniu: Szarady Pańskie jako dla nas niezdatne poszły do kosza. List Pański oburzający się żeś dotąd odpowiedzi nie otrzymał jest niewłaściwy i dla tego razem z szaradami spoczął w koszu. — Panu J. Gordonowi we Lwowie: Zastosujemy się do Jego życzenia. — Pannie Podolance w Poznaniu: Wierszyk p. t. „Wielkopolankom w dzień zgromadzenia Towarzystwa Naukowéj Pomocy w Poznaniu" może z niektóremi zmianami zamieścimy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tulodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).